

Excentrycy

Włodzimierz Kowalewski



Nie czytałem lepszej powieści o czasach PRL-u. Dowcipna, błyskotliwa, niezwykle precyzyjnie skomponowana. Mistrzowska ironia. I akcja, która wciąga narkotycznie. Polecałem i polecam tę książkę wszystkim, którzy cenią świetną literaturę.

Paweł Huelle

Na bocznych, krętych schodkach ujrzał postać Bayerowej. Ledwo się tam mieściła. Poły szlafroka nie mogły się nawet ze sobą zetknąć na brzuszysku, wystającym pod brudną koszulą dobry decymetr poniżej równie potężnego zwału biustu. Włosy miała posklejane, z ust sterczała cyfka z ogarkiem papierosa.

– A, braciszek! Mówiła, że on taki zmęczony, chory, musi pod opieką trochę pobyc. A tu widzę – zdrów jak kaczan kapuściany! Łeb mi pęka, kurwa jedna! Nie ma czego od bólu głowy?

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem...

– No, wódy żadnej nie przywiózł?

Speszony zerwał się z kucek, pobiegł do pokoju, wrócił z butelką.

Bayerowa zawołała go, wlaźła tymczasem do łóżka i stamtąd wyciągnęła rękę ze szklanką brunatną od herbacianego osadu. Posłusznie napemnił ją do połowy, ale nie cofnęła ręki, więc dolał do trzech czwartych. Całą zawartość okrągłym ruchem natychmiast wlała sobie do gardzieli, na tym samym oddechu zaciągnęła się i z ulgą wypuściła dym.

– Kto tu jeszcze wie, jak to smakuje? Wszyscy jesteśmy prze! Niech leje, czego się gapi?

Wychyliła drugą szklankę speyburna i umościła się wielkim tyłkiem na łóżku, aż zajęczały sprężyny.

– Mieszka w pokoju Reichmana, łachmyty jednej. Nawet trochę podobny – mówiła już spokojniejszym głosem, iskając się gdzieś pod kołdrą i zagładając sobie w wycięcie koszuli.
– To moje pianino. Też gram. Kiedyś dawno byłam nawet

taperem w kinie, tu, w Sfinksie. Tfu, czym ja nie byłam? Wszystkim, kurwa jedna, byłam.

Wygrzebała zapałki spod poniewierających się w pościeli poplamionych majtek, dziurawych skarpet, jakichś chustek, ścierek, fartuchów, i w skupieniu przypaliła sobie nowego żeglarza, a peta po poprzednim zgmiotła w solniczce, na talerzu pełnym skorup od jajek. Zgubiła cyfkę, szukała, bluzgała przy tym jak... No właśnie, jak? W świecie, który rozmyśla wielka woda i którego Fabian był bezwolnym rozbitkiem, takich wyrażen nie można było usłyszeć właściwie nigdzie, nawet od machających bez przerwy łopatami umordowanych palaczy na „Polonii”, nawet w wojskowej stajni, nawet w burdelach gorszego sortu, skąd „nieprzyzwoitych” gości od razu wyrzucano na zbitą mordę, ponieważ personel się gorszył. Słowa Bayerowej działały na niego jak szpile wbijane od wewnątrz, rozlewające po twarzy fale głupiego gorąca. Uspokajał się, że to przecież tylko kilka dźwięków zestawionych tak, a nie inaczej, w sposób umowny pobudzających emocje, nic więcej. Że zgodnie z duchem czasu i warunkami powstaje nowy język, którego narodzin jest świadkiem, do którego będzie się musiał przyzwyczaić, potem opanować, w końcu kiedyś uznać za własny.

Nie bardzo wiedząc, co dalej, stał przy łóżku prawie na baczność, z otwartą butelką trzymaną w pogotowiu. Bayerowa budziła respekt, w tytoniowych oparach wyglądała jak posąg tłustego Buddy otoczony kadzidłem, ze szklanką w ręku i wymiętym papierosem, przylepionym do wargi grubości rowerowej dętki.

– No, niechże leje, co się tak zamyślił? Filozofie nowoczesne układa?

– A pani teraz... choruje? Chora pani jest na coś? – zapytał grzecznie, żeby w ogóle cokolwiek mówić.

– He, he, chora! Chora! – wybuchnęła ciężkim, bulgocącym śmiechem. – Toć chyba, że chora! Tak jak wszyscy chora! Ale oni jeszcze nie wiedzą, że jedyne, co ma sens, to wleźć do łóżka. Wleźć i leżeć. Niech się nie boi, nie boi, wszyscy kiedyś wleżą. Będą gnić w betach, kurwy jedne, i już nikt się nie odezwie, że tylko Bayerowa jedna taka fiśnięta. Będą pierdzieć pod siebie i jeszcze krzyczeć, jak to im dobrze w smrodzie, że smrodu by bronili jak życia swego. Potem będą sami sobie naciągać pierzyny na łeb i narzekać, że ciemno, że nic nie widzą! Jesteśmy prze! Każden jeden prze! Diabeł lata po podwórkach, wczoraj, kurwa jedna, śmietnik tutaj u nas rozwalił. Jak braciszek dobrze się przyglądnie, to go też na pewno zobaczy. Ale niech się nie boi, nie boi, niech leje! I niech się przyzna, co mu takiego odpieprzyło, że tu przyjechał? Czy tam, w Anglii, już nie leczą fiksum-dyrdum? Wszystkie domy wariatów pozamykali?

– Przyjechałem grać swing.

– Swing? Tutaj? Na pianinie?

– Na puzonie.

– Na puzonie! – Siorbnęła głośno i przełknęła pół szklanki whisky. Wzdrygnęła się po raz pierwszy. – Może i ma rację. Jedyne, co tutaj tak naprawdę można ze sobą zrobić, to nadmuchać sobie w puzon!

Na dole ktoś znowu dobijał się do drzwi. Bayerowa prze-
rwała, zjechała w łóżku do pozycji horyzontalnej i nagarnęła
na siebie wszystkie szmaty, jakie napotkała w zasięgu rąk.
Kazała mu powiedzieć, że jej nie ma, nie było i nie będzie,
i żeby nikogo nie wpuszczał.

Z dworu uderzyły zimno i wilgoć. Fabian zobaczył mi-
licjanta na służbie, w czapce, z paskiem pod brodą. Mili-
cjant odsunął go bez słowa, wszedł do środka. Był wielki,
chudy, ogromną, podłużną głową przypominał turonia z or-
szaku wiejskich kołędników. Bezceremonialnie rozsiadł się
w kuchni Wandy, przed sobą położył raportówkę z przytro-
czoną rzemykami czarną pałką. Zażądał paszportu, kartko-
wał go długo, śliniąc palce i przybierając nieprzeniknioną
maskę. Krótkimi, urzędowymi zdaniem pytał o datę przyby-
cia, meldunek, odzyskanie polskiego obywatelstwa. Fabian
odpowiedział, że ta ostatnia sprawa była załatwiana jeszcze
przez ambasadę w Londynie i że w związku z tym czeka na
wezwanie do Warszawy. Milicjant potakiwał, mruczał przez
nos, wreszcie rozpiął raportówkę i podał Fabianowi złożony
na pół świstek.

– Czytajcie. Dzisiaj znalazłem wetknięte we drzwi.

Na kartce z zeszytu ktoś pracowicie wykalgrował wiel-
kimi literami:

ZAWIADAMIAM UPRZEJMIE, ŻE W POSESJI NALEŻĄCEJ DO OB.
BAYER LUDMIŁY, KAMIENICZNYCY, ZAMIESZKUJE PODEJRZANY
OSOBNIK PŁCI MĘSKIEJ PRZYBYŁY Z KRAJU KAPITALISTYCZ-
NEGO. PODAJE SIĘ ON ZA BRATA SUBLOKATORKI OB. BAYER,

NIEJAKIEJ APANOWICZ-PATRAS WANDY, REPATRIANTKI Z ZSRR.
ZAWIADAMIAM UPRZEJMIE, ŻE OSOBNIK ÓW W DNIU W CZORAJ-
SZYM O GODZ. 10 MINUT 7 RANO, DZIAŁAJĄC POD WPŁYWEM
ALKOHOLU, DOPUŚCIŁ SIĘ ZGORSZENIA PUBLICZNEGO POPRZEZ
ODEGRANIE NA INSTRUMENCIE DĘTYM Z BALKONU W/W PO-
SESJI HEJNAŁU MARIACKIEGO. PODKREŚLAM, ŻE PUBLICZNE
WYKONYWANIE HEJNAŁU MARIACKIEGO NA DWIE GODZINY
PRZED OFICJALNYM CZASEM NADAWANIA GO PRZEZ POLSKIE
RADIO JEST NIE TYLKO ZAKŁÓCENIEM RYTMU CODZIENNEJ
PRACY MIESZKAŃCÓW NASZEGO UZDROWISKA ORAZ PROFA-
NACJĄ MELODII ZWIĄZANEJ Z REWOLUCYJNYMI TRADYCJAMI
NARODU, ALE TEŻ PODWAŻENIEM AUTORYTETU SOCJALISTYCZ-
NYCH ŚRODKÓW MASOWEJ PROPAGANDY, CO SŁUŻY REWIZJONI-
STYCZNYM, AMERYKAŃSKIM I ADENAUEROWSKIM SZCZĘKACZ-
KOM DYWERSYJNYM, TAKIM JAK RADIO WOLNA EUROPA ORAZ
RADIO MADRYT.

PATRIOTA POLSKI

– No i? – uniósł brwi funkcjonariusz. W tym „No i?” za-
dźwięczał cały majestat władzy oraz bezkompromisowość
w dochodzeniu do prawdy.

Fabianowi zaraz przypomniały się artykuły „Głosu Żoł-
nierza” i książki z czytelnicy londyńskiego Domu Polskiego,
typu *Za kulisami bezpieki i partii czy W krwawych szponach
czerwonej bestii*. Nie przestraszył się jednak ani trochę, prze-
ciwnie, miał nawet lekkie poczucie dumy, że jego pierwszy
kontakt z reżymem przybiera postać znaną z fresków naro-
dowej martyrologii.

– No... inteligent musiał to pisać. Bardzo stylistycznie. Wykształcony pewno. Może i ze świadectwem maturalnym...

– podrwiwał sobie, wpatrując się w donos.

– Nie błaznujcie mi tu. Graliście wczoraj rano? Przyznajecie się?

Daszek czapki, której milicjant nie zdjął, siadając, załśnił złowrogo.

– Owszem, grałem.

– Mariacki hejnał?

– Nie. *I Get Sentimental...* Taki tam sobie kawałek...

Rysy twarzy przesłuchującego, do tej pory jakby wyrzeźbione szczyrykiem w pniaku do rąbania drzewa, raptem rozciągnęły się dziwnie, rozjaśniły i straciły ostrość. Chwytał Fabiana za przegub, niepostrzeżenie przechodząc na „pan”.

– Uff! Właśnie dlatego przyszedłem. Jak pan grał? Linią klarnetu jak u Goodmana? Czy może jak „Hoe” Dexter Junior? Kompletnie nieznany, ale niezwykły, przypadkiem mam płytę, musi pan posłuchać. „Master Voice” z czterdziestego drugiego!

– Gram na trombonie.

– Niech pan zagra jeszcze raz. Teraz. Bardzo proszę. Chcę usłyszeć, koniecznie. Aha, niech się przedstawię. Stypa jestem. – Milicjant wyciągnął rękę.

Fabian spojrział spode łba. Cóż było robić. Zanim poszli do holu, Stypa podarł na drobne kawałki kartkę z donosem, otworzył drzwiczki pod schodami, wrzucił wszystko do wychodka i spuścił wodę.

– Idź gównno do gówna! – zawołał przy tym.

Fabian przyniósł instrument.

– Celpharus. – Stypa schylił się i odczytał nazwę. – Rzadka firma, ale słyszałem, ktoś z moich znajomych miał podobny. Przedwojenny?

– Kupiłem w Halifaksie, okazji nie. Miałem lepszy, bardzo drogi, Conna robionego na zamówienie, szkoda mi go było do pracy, no i został gdzieś tam... Może teraz jakiś młody dmucha nim marsze w pionierskiej orkiestrze.

Stypa zauważył pianino, otworzył je, z wahaniem przegrał dwie gamy, klnąc przy tym pod nosem, a potem przyciągnął z korytarza kosz do bielizny i zasiadł na nim przed klawiaturą. Zdjął pas z pistoletem, kurtkę mundurową rozpiął, zrzucił za siebie. Przyglądał się, jak Fabian przeciera ustnik szmatką namoczoną w whisky, odruchowo próbuje butem gruntu, jakby stał na rozmokłej ziemi, a nie na starej, zakurzonej podłodze, bierze kilka dźwięków, szuka sobie miejsca, jakby naprawdę było ważne, czy stoi krok bliżej, czy dalej, wreszcie podnosi trombon i przez chwilę wytrzymuje zimny dotyk metalu dookoła ust.

Rozpoczął powoli, nisko i łagodnie, jakby nie był to środek listopada, ale trawnik w Central Parku rozgrzany popołudniowym słońcem. Stypa wszedł po kilku taktach, jego zniszczone, pozornie toporne palce wydobyły z rozklekotanego rupiecia nuty niezwykle delikatne, podobne do plusku wody. W pewnej chwili skinął głową i Fabian „wpuścił” go na solo, zbyt jednak rzewne i cukierkowate nawet jak na tę sentymentalną melodię. W mętne powietrze ponurej jesieni

wszczały się iluzja i nierealność. Obydwaj rozumieli doskonale, że swing nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Że to mit, w którym spotykają się najgłębiej ukryte, nieskomplikowane marzenia szarych, małych, często podłych i głupich ludzi. Pastelowe kwiaty, krajobrazy-sielanki, tkliwe uczucia i radość, miłe i piękne twarze jak z kinowego ekranu albo wyretuszowanej fotografii. Ktoś powie „kłamstwo”, „lukier”, „karnawał obłudy”. Ale co jest warte życie bez mitów? Od szóstej rano do dwudziestej trzeciej, od przełknięcia do wydalania, od smaku do smrodu, od czkawki do śmiechu, od narodzin do ustania biologicznej funkcji. Ile jest warte życie w strachu, bez świadomości tego, co najpiękniejsze, z wykreconą zgryźliwie gębą, z przeżyciami sprowadzonymi jedynie do złości, biadolenia i kpin?

– Fortepian? – zapytał Fabian, gdy skończyli i zapadła cisza.

– Ależ tam... Blacha, blacha. Trąbka.

– A to? – wskazał na mundur i pas ze skórzaną kaburą, rzucone koło kosza, oraz na milicyjną czapkę, którą Stypa zapomniał zdjąć z głowy.

– Długo by gadać... Przed wojną pracowałem w studio Syrena-Electro na Chmielnej, słychać mnie u Ordonki, u sióstr Felskich w *Królewnie Śnieżce*, trąbiłem też po dancingach, opłacało się. Potem byłem na stałe w orkiestrze u Kataszka. Zresztą, co tam, niech pan wie: inaczej się też nazywałem, żyję tylko dzięki swojemu wyglądowi, a raczej dlatego, że wyglądałem inaczej, niż się nazywałem. Słomianym blondynkiem byłem, prawie albinosem. Kapujesz pan?

Podniósł ręce, wyduł wargi i popatrzył po sobie tak jak człowiek, który pierwszy raz włożył nowe ubranie.

Fabian skinął głową, że kapuje.

– I z pałką woli pan chodzić? Teraz przecież też są tu tańeczne orkiestry, sam słyszałem w radiu. Nie wrócił pan?

– Czasem nawet jest do kogo wracać, ale nie ma do czego. To najgorsze, co może być. Czasem się też zwyczajnie nie chce do niczego wracać. A pan nie musi mi nic o sobie mówić. Przed chwilą wszystko już pan powiedział – spojrzał na puzon Fabiana. – Teraz chodź pan lepiej ze mną do knajpy. Tu jest jedno miejsce, gdzie przychodzi paru takich, co też by sobie trochę pograli. Zupełnie niedaleko.

To „zupełnie niedaleko” okazało się drugim końcem miasteczka. Zostawili za sobą żelazne ogrodzenie parku, przecięli plac za kościołem, minęli szpital wojskowy i duże sanatorium Warszawianka. W milczeniu szli ulicami, na których wiatr wzbijał ostatnie mokre liście. Ludzie opatulali się, czym mogli, znad kołnierzy i szalików łypały jednak na nich źrenice badawcze i czujne, bo musieli wyglądać jak konwojent z aresztantem.

Stanęli wreszcie pod szyldem z wypisaną złotymi, zakręconymi literami nazwą Jadłodajnia Współczesna, kategoria III. Lokal mieścił się na parterze solidnej murowanej willi, oddzielał go od ogródka i chodnika oszklony taras, w którym wybite szyby zastąpiono kawałkami płyty pilśniowej, a te jeszcze całe zasmarowano od środka jakimś białym mazidłem. Główne wejście było zatarasowane stosem desek i gratów, wchodziło się z boku, małymi drzwiami, pod

zapaloną nad nimi, mrugającą żarówką. W środku jakby trwał permanentny remont. Kable wyłazące ze ścian, ślady po obtłuczonej gipsowej sztukaterii, wykute dziury pośpiesznie zachłapane cementem i liszaje starej, miejscami zeszkrobanej farby. Mimo to jadalnia była czynna, przy stolikach, nad którymi fruwały żagielki papierowych serwetek, kłębili się konsumenci, prawie sami mężczyźni. Całość wnętrza spowijał jak ciemna chmura papierosowy dym o gęstości gazu bojowego, wymieszany z odorem wódki, smażeniny, parą od gotowanego mięsa i zgnilizną niepranych ścierek.

Wejście umundurowanego milicjanta w towarzystwie nieznanego indywiduum z cygarem w gębie zrobiło wrażenie. Gwar na sekundę przycichł, niektórzy ukradkiem odwrócili się od stolików, żeby zaraz pochylić się nad nimi mocniej i udawać, że ani jeden, ani drugi nic ich nie obchodzi.

Stypa poprowadził Fabiana na koniec sali, do dużego stołu ukrytego za węgłem, gdzie stała tylko zepchnięta w kąt, nieużywana szafka na talerze.

– Mamy tu wykupione obiady – wyjaśnił.

Przy stole kończył drugie danie wytworny staruszek ubrany w szary smoking z muszką w grochy. Pokrzywionym widelcem i tępym nożem posługiwał się z taką dystynkcją, jakby to były srebrne platerki u Ritza, a zaróżowioną wodę ze szklanki z rozmożonymi kostkami rabarbaru na spodzie popijał jak wystawę burgunda albo co najmniej hiszpańską tempranillę. Stypa zdążył szepnąć, że to emerytowany nauczyciel muzyki oraz historyk literatury amator, nieco już

stuknięty, po czym staruszek wstał i przedstawił się Fabianowi nazwiskiem „Zuppe”.



Koniec lat pięćdziesiątych. Opustoszały kurort, zrujnowane pensjonaty, bieda i szarżyzna. Do Wandy – lwowskiej dentystki i śpiewaczki jazzowej, która po powrocie z zesłania osiadła w Ciechocinku – przyjeżdża z Anglii starszy brat, Fabian, puzonista jazzowy i znakomity tancerz. Wyjechał z kraju przed wojną, jako klezmer i muzyk w orkiestrze tanecznej grał na polskim transatlantyku. Wraca opętany jazzem i zakłada swingowy big band. Zaskakująco szybko znajdują się ludzie, którzy chcą grać razem z nim – młodzi bikiniarze z przygrywającego na potańcówkach zespołu, gardzący muzyką stroiciel fortepianów, który w każdym pisarzu widzi homoseksualistę, dystygowany doktor Vogt, klarncista-amator, milicjant, który przed wojną był trębaczem... Do złożonego z miejscowych dziwaków big bandu dołączają Wanda i tajemnicza femme fatale – Modesta. Pewnego dnia Modesta znika, a historia miłosna zmienia się w opowieść z wątkiem szpiegowskim.

Poruszająca powieść, w której liryzm splata się z ironią, a melancholia z groteską. O złamanych przez wojnę ludziach, o muzyce granej na przekór ponurej rzeczywistości – i o złudzeniach.

NA EKRAŃ PRZENIÓSŁ JĄ JANUSZ MAJEWSKI. W ROLACH GŁÓWNYCH WYSTĄPILI MACIEJ STUHR, SONIA BOHOSIEWICZ I NATALIA RYBICKA. PARTNERUJĄ IM MAGDALENA ZAWADZKA, ANNA DYMNA, WOJCIECH PSZONIAK, WIKTOR ZBOROWSKI, ADAM FERENCY CZY MARIAN OPANIA, A TAKŻE WIELU INNYCH WSPANIAŁYCH AKTORÓW.

www.marginesy.com.pl



9 788365 282071

cena 37,90 zł

PIRROSI REBALDI



M MACAZYN KULTURALNY

ROOM

BOOKLIPS.PL IIII